

poznał ani jej twarzy ani figury, opuściła swoje nowe więzienie w towarzystwie Pędzikowej, również szale osłoniętej do niepoznania.

Zaledwie wyszły z domu, stara przystanęła i podobnie, jak przed chwilą z bramy, rozejrzała się na wszystkie strony uważnie, poczem ruszyły w dalszą drogę spokojnie.

Szły śpiesznie w milczeniu mijając w mrokach wieczornych przechodniów.

Na drugim chodniku na ich widok przystanęła nagle przechadzająca się przed oświetlonym sklepem młoda kobieta, o bujnych włosach złotych, wyteżyła wzrok w ich stronę i z miejsca zawróciwszy, pędem pobięła przed siebie, roztrącając ludzi.

Pędzikowa jednak podobnie, jak Laura, nie zauważyła tej sceny przelotnej i zakreśliła w boczną ulicę.

— Dobrze, duszo, żeśmy już tutaj... teraz jesteśmy bezpieczni.

Skarb.

Ludwik Reman dzwignął się. Pod sobą miał nieruchome ciało barona Goldenthala, a dokoła czarną jaskinię.

— On chciał mnie tu w podziemiach zgładzić ze świata — pomyślał sobie, oprzytomniawszy zupełnie — teraz zmieniły się rzeczy o tyle, że ja mógłbym go dobić, jeżeli jeszcze dyszy...

Wstrząsnął się cały, siadając na stopniu kamiennym.

— Spełniłbym zapewne tylko dobry uczynek, gdybym się o to postarał, by straszny ten człowiek, nie ujrzał więcej nigdy światła dziennego i stąd nie wyszedł nigdy... Ale ja do tego nie zdolny jestem, nie, zabić go... a może on już nie żyje.

Dreszcz przeszedł po ciele Ludwika.

— Niech się dzieje co chce, byle co prędzej wyjść z tego grobu.

I zaczął na czworakach wdrapywać się wśród ciemności pod górę po zimnych stopniach kamiennych.

Wtem natknął się na jakiś przedmiot i nagle doznał wrażenia, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł po nim.

To na jednym schodzie leżała owa tajemnicza szkatułka, dla zdobycia której odbył Goldenthal w jego towarzystwie wyprawę w podziemia starej kaplicy zamkowej.

Kiedy szamocąc się, runęli obaj w przepaść i stoczyli się w piekielnym uścisku na dół, szkatułka zdobyta przez barona, wypadła mu z ręki.

Teraz baron leżał od niej daleko, a nie było nic łatwiejszego dla Ludwika, jak przywłaszczyć sobie ten skarb i uciec z nim w świat...

— Wszak i baron tylko przywłaszczył ją sobie, wszak i on zrabował ją tutaj — myślał Reman.

Więc nie wahał się już ani chwili. Zdecydował się na krok stanowczy. Kasetka miała rączkę, to też chociaż była bardzo ciężka, dało się ją nieść dość wygodnie. Idąc z tym ciężarem w rękę, trzymał się teraz poręczy i uważnie wspinał dalej po schodach ku wyjściu.

Tu, w tej szkatule, znajduje się bez wątpienia tajemnica, która skłoniła barona Goldenthala do małżeństwa z Wandą Rożniewską-Anielską.

W godzinę później, drżąc od dotkliwego chłodu, błdził Ludwik Reman po gęstwinie leśnej.

Znużony, przystanął w miejscu, gdzie czuł się zupełnie bezpiecznym i umieściwszy na ziemi pod drzewem ciężką szkatułkę, zabrał się do pracy, jaką uznał za najpilniejszą w tej chwili. Ubranie jego było w takim nieładzie i tak zniszczone skutkiem szamotania się na schodach z baronem, gdy mu śmierć w oczy zaglądała, a zwłaszcza tak było wywalane przez to, że obaj staczali się po kamiennych w przepaść — iż chcąc w razie czego uniknąć podejrzeń, należało przedewszystkiem przyprowadzić do znośnego stanu garderobę. Poszło mu to gładko, poczem z piasku i błota obmył sobie jeszcze ręce w potoczku leśnym — i ruszył w dalszą drogę.

Ale dokąd iść — tego sam nie wiedział.

— Wracać do pałacu Rożniewskich nie sposób. Mógłbym wprowadzić tymczasowo ukryć gdzieś, choćby w lesie zakopać szkatułkę i przyjść do pałacu swobodnie, udając, że nic nie wiem, jakoby baron zaginął... Wyszedłem na przechadzkę, zabłąkałem się trochę w lesie i wracam sobie najspokojniej... Ale jeżeli mnie przypadkiem zobaczył ktoś przedtem, że z zamku wyszedłem do parku nie sam, tylko w towarzystwie Goldenthala... To jedno... Ale nadto znam ja siebie: wystarczyłoby, żeby mnie pytać zaczęto w pałacu, co się mogło

stać z baronem, a na pewne od razu wyczytanoby mi z twarzy, iż muszę coś wiedzieć, lecz nie chcę powiedzieć... Tobie się wydało im podejrzanym... Nie ma innej rady: tam już wracać nie mogę. Trzeba w świat uciekać z tym skarbem.

I począł iść coraz śpieszniej, nie zastanawiając się, dokąd go oczy poniosą.

Szkatułka nie wydawała mu się tak ciężką, jak wprzód, ponieważ im dłużej rozmyślał nad tajemniczą wyprawą barona Goldenthala, tem większej nabierał pewności, iż dzięki owemu żelaznemu pudełku stał się milionerem.

— Byle wybrnąć z tego lasu!

Tymczasem gęsty bór inflancki ani myślał się kończyć. Nie było widać kresów jego, w którąkolwiek stronę zwracał się Ludwik.

Wreszcie i noc zaskoczyła go w tej puszczy.

Strach go ogarnął. Nie przypuszczał, żeby zachodziła obawa napadu jakich rozbójników, ale wyobrażał sobie, że w takich lasach przepastnych może mu grozić niebezpieczeństwo ze strony dzikiego zwierza.



— Moje biedne dziecko, a jakże ty się panienko nazywasz?

Rychło ogarnęły go ciemności zupełne. Ciszy nie przerywało nic dokoła. Wszędzie była pustka, która jeszcze bardziej strachem napełniała młodego kantorowicza łódzkiego.

W takich okolicznościach iść dalej nie można było. Zatrzymał się tedy Reman pod ogromnym starem drzewem. Zbadał je uważnie o ile się dało w mroku i wreszcie zdecydował się wdrapać na nie dla znalezienia sobie chwilowego noclegu.

Wybrał szczęśliwie, gdyż nie tylko udało mu się bez wielkiego trudu wydostać na górę, nie puszczając kasetki z ręki, ale co więcej, na wierzchołku pnia rozłożystego drzewa znalazł w rozgałęzieniu miejsce, tworzące szeroki kosz, gdzie można było od biedy, względnie wygodnie, przesiedzieć kilka godzin.

Wyłamał gałąź w taki sposób, że tuż przy sobie zawiesił, jak na haku, swój nieodstępny skarb cenny — szkatułkę żelazną. Następnie sam usadowił się o ile możności najlepiej i uśmiechnął się zadowolony z tego, że w tak obcych mu okolicznościach mimo braku doświadczenia potrafił sobie radzić sam tak dobrze.

Jeden miał tylko kłopot, że zbyt lekko był ubrany i skutkiem tego trząsł się ciągle z zimna,

z głodem bowiem, który mu z początku w lesie dokuczał już mocno, teraz oswoił się już nieco.

Do wschodu słońca godziny wlokły się niemiłosiernie długo. Reman nie mógł zasnąć, tak mu siedzieć było twardo, a zwłaszcza robiło mu się coraz zimniej. Deszcz wiał w powietrzu. Niebo było zavalone chmurami. Na szczęście wiatr tylko ustał od wieczora.

Zmęczenie jednak wprawiło go w taką sennność, że wcale nie wiedział, kiedy zdrzemnął się. Dość, że gdy się ocknął i oczy otworzył, ujrzał w koło siebie dzień jasny, jakkolwiek mimo pogodnego już nieba, nie było znać jeszcze blasku wschodzącego słońca.

Wzrok jego padł przedewszystkiem na miejsce, gdzie z wieczora zawiesił szkatułkę.

Jakież było przerażenie straszne Ludwika, gdy w miejscu tem zobaczył jedynie złamaną gałąź, która służyła mu za hak do rękojeści kasety, ale szkatuły nie zostało ani śladu.

Przetarł sobie oczy, bo mu się wydało przez chwilę, iż to tylko sen

tak przykry, jak zmora — trapi go i trwoży. Jednakowoż przekonał się rychło, iż brak wielkiego skarbu jest niestety rzeczywistością na jawie.

Teraz trząsł się już nie z zimna, a ze złości.

Chciał dostać się co prędzej z drzewa na ziemię, ale całe ciało tak mu ścierpło, że musiał je długo rozcierać, zanim zdołał zsunąć się po starym pniu na dół.

Rozejrzał się na ziemi, z trudem prostując skostniałe członki.

W zaroślach były wyraźne ślady nóg ludzkich, które niedawno potratowały tutaj roślinność.

— Ba, ależ to ja przecież mogłem i musiałem sam połamać te gałązki w nocy, kiedy wspinałem się na drzewo... Możliwe, że to tylko moje ślady. Ale w takim razie, jeżeli nie było tu nikogo innego, gdzież zatem podziała się szkatułka... Skoro nie było innego prócz mnie człowieka, toć chyba zwierzę leśne nie mogło odebrać żelaznej kasetki, zostawiając mnie w spokoju na drzewie...

Nachylił się i jął przeszukiwać krzaki. Wszystko było napróżno.

Zrozpaczony i wściekły zarazem usiadł pod drzewem, w całym ciele bowiem doznał naraz wrażenia zupełnego wycieńczenia i już nie mógł dłużej utrzymać się na nogach. Głód robił swoje...

Aż naraz rzucił się Ludwik w bok, jak oszalały, twarzą do ziemi. Oburącz przyciskał coś do piersi, szlochając głośno...

To był jego skarb odzyskany niespodziewanie.

To była owa szkatułka żelazna, która swoim ciężarem musiała, po paru godzinach wiszenia, przejąć nieco gałąź złamaną i ześlizgnąwszy się z niej, spadła między zarośla — budząc hałasem druzgotanych odrośli drzemającego na drzewie Remana — i zaryła się w ziemię wśród mchów.

Gdyby ojciec zrezygnowany stratą dziecka ukochanego, odnalazł je nagle przypadkiem — radość jego nie byłaby się okazała mniejszą, aniżeli wybuch szczęścia Ludwika Remana, gdy ten odzyskał skarb, już za przepadły przez chwilę uważany...

Zrozumiał teraz, iż dotychczas jeszcze nie groziło mu wcale niebezpieczeństwo, iż nikt go nie śledził i nikt nie wpadł na jego ślady... Ale właśnie przy tej okazji przyszło mu na myśl, że zachodzi jednak możliwość pogoni za uciekinierem. Wobec tego należy śpieszyć się z ucieczką z puszczy leśnej.

(Ciąg dalszy nastąpi).